



KLIMEK



POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE
BIULETYN INFORMACYJNY ZARZĄDU
ODDZIAŁU SOSNOWIEC

ROK XIV

KWIECIEŃ

2009

2(51)

Przyroda nieożywiona na Wyżynie Krakowsko- Częstochowskiej-część II

Jedną z najbardziej charakterystycznych cech Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej to brak wód powierzchniowych (rzeki i potoki) w obrębie masywów wapiennych (zjawiska krasowe). Tereny gdzie woda występuje uszczelnione są warstwami nieprzepuszczalnymi.

Wody podziemne w składzie chemicznym posiadają bardzo cenne dla zdrowia człowieka makroelementy pochodzące z rozpuszczania skał węglanowych (wapń, magnez). Pomimo dużych walorów zdrowotny naturalnych zasobów wodnych na tym terenie, na tym obszarze postrzega się coraz większe problemy jej niedoboru i pogarszającą się jakość.

Wyżyna Krakowsko-Częstochowska pod względem klimatu należy do regionu wyżyn środkowopolskich. Cechą charakterystyczną wyróżniającą je tereny od innych części Polski jest duża intensywność procesów pogodowych.

Wpływ człowieka na środowisko przyrodnicze zaznacza się z chwilą pojawienia się pierwszych myśliwych w paleolicie. Ślady obozowiska neandertalczyków w jaskini na Biśniku (okolicie Smolenia). Również osiedlający się lud koczowniczy (powstanie pierwszych związków plemiennych) przekształca środowisko przyrodnicze. Obszar ten oddziela plemiona śląskie i wiślańskie. Powstały zabudowania z miejscowego materiału, pierwsze kamieniołomy i zapoczątkowano wylesienia. Wykorzystywano jaskinie, budowano grodziska, wznoszono zamki na niedostępnych skałach. Fortyfikacje, pałace nowożytne, wsie i miasta stanowią nieodłączny element historycznego ładu krajobrazu kulturowego.

Należy zaznaczyć, że rozpoznawanie zasobów krajobrazu Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej uwidacznia wielkie bogactwo środowiska historycznego, przyrodniczego i kulturowego. Popularyzacja wiedzy jest bardzo istotna, gdyż przybliży poznanie krajobrazu i głębsze przeżycia.

Opracował : Krzysztof Czesak

Ś.p Ksiądz prałat dr Jerzy Pawlik

Ksiądz Jerzy Pawlik urodził się w Katowicach- Welnowcu w dniu 9.03.1919 r. W rodzinie Ślązaków: Ojciec Józef był majstrem w cynkowni, a mama Maria z domu Gabriel. W szkole średniej-gimnazjum, należał do Sodalicji Mariańskiej i I Miejskiej Drużyny Harcerskiej im. Tadeusza Kościuszki.

Po maturze wstąpił do Śląskiego Seminarium Duchownego w Krakowie oraz rozpoczął studia na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jagiellońskiego. W okresie okupacji Polski przez Niemców dalszą

naukę pobierał w Seminarium Duchownym w Widnawie. We Wrocławiu przyjął święcenia kapłańskie. Mszę prymicyjną odprawił 15.07.1942 r. W kościele św. Józefa w Józefowcu i tam też w rodzinnej parafii zapoczątkował posługę kapłańską. Następną parafią młodego księdza J. Pawlika była parafia pod wezwaniem św. Wojciecha w Radzionkowie. Tam też zorganizował akcję wysyłania przez harcerzy paczek do obozów koncentracyjnych dla więźniów. W dowód uznania odznaczony został Krzyżem Zasługi ZHP z rozetą i mieczami.

Po uzyskaniu przez Polskę niepodległości pracował w charakterze katechety w Piekarach Śląskich. Następnie na Wydziale Teologicznym UJ nostryfikował widnawski dyplom. Na tej uczelni studiował na Wydziale Filozoficznym i obronił pracę doktorską, po czym został nauczycielem nominowanym.

Podczas katechezy w Piekarach Śląskich wznowił działalność Sodalitacji Mariańskiej; drużynę ZHP. Następnie 16.08.1946 r. Przeprowadził pierwszą młodzieżową pielgrzymkę do Częstochowy. Przyczynił się do umocowania jako votum Krzyża Harcerskiego obok obrazu Matki Boskiej Sprawiedliwości i Miłości Społecznej w Piekarach Śląskich.

Katechizując założył w szkole Koło Turystyczno-Krajoznawcze. Przy okazji ukończył kursy przewodników turystycznych. W tym zakresie: organizował zloty turystów pieszych na Górze św. Anny i prowadził rekolekcje górskie.

Tylko dwóm duchownym- członkom PTTK, przyznano godność Członka Honorowego- Papieżowi Janowi Pawłowi II i ks. Jerzemu Pawlikowi.

W Katolickim Uniwersytecie Lubelskim prowadził ćwiczenia na seminariach doktoranckich i był wykładowcą Historii Kościoła w Studium Duchownym Ojców Franciszkanów w Panewnikach.

Zorganizował Ogólnopolską Pielgrzymkę Młodzieży Żeńskiej do Częstochowy, po czym został krajowym duszpasterzem młodzieży, współorganizując Światowe Dni Młodzieży w Rzymie, Buenos Aires, Santiago de Compostela, Częstochowie i Denver. Kierował pracami Podkomisji Sanktuariów Maryjnych i ruchem pielgrzymkowym przy Komisji Maryjnej Episkopatu Polski jako członek.

Ks. Pawlik w 1972 r. został delegatem Konferencji Episkopatu Polski do krajów Europy Środkowo-Wschodniej jako duszpasterz Polaków pracujących za granicą (NRD, Węgry, Czechosłowacja, Rumunia, Bułgaria, ZSRR). Dzięki ks. Pawlikowi Radio Gdynia transmitowało z gdańskiego kościoła św. Elżbiety msze święte dla marynarzy od 1981 r. Pielgrzymki zagraniczne organizował nie tylko do Rzymu, ale również do Afryki, Azji, Ameryki Północnej i Ameryki Południowej, dobrze współpracując z Papieską Radą Ludzi w Drodze.

Do działalności społecznej, pedagoga, organizatora należy dorobek naukowy obejmujący wiele pozycji z dziejów kościoła, studiów i rozpraw oraz np. ciekawa książka „Ponad barierami”-troska duszpasterska w byłym bloku wschodnim 1972-1994, w której przedstawia swoje przeżycia z tego okresu. Przyczynił się m. innymi do przywrócenia nazwy stacji Katowice-Zawodzie (d. Katowice Bogucice), powstania w Katowicach pomnika ku czci zamordowanego przez Niemców dra Andrzeja Mielęckiego w miejscu jego męczeńskiej śmierci.

Ks. Pawlik za działalność i rozczytanie w Bibliotece Śląskiej otrzymał „Złotą Kartę Biblioteczną”, z numerem 1 i tytuł Amicus Librorum.

Ks. Pawlik ponadto był członkiem Polskiego Towarzystwa Teologicznego, Polskiego Towarzystwa Mariologicznego, Polskiego Towarzystwa Historycznego.

Ks. Pawlik był pogodnym, życzliwym i chętnym do niesienia z głębi ducha wszelkiej pomocy człowiekiem.

Zmarł niejako w przeddzień swoich urodzin 2.03.2009 i pochowany został w Katowicach. Ks. Jerzy Pawlik oddany był w pełni zasadom wiary, kościoła i wszystkim napotkanym ludziom.

Pamiętam wiele spotkań z ks. Prałatem Jerzym Pawlikiem. Jedno ze spotkań to spotkanie na Babiej Górze w schronisku Markowe Szczawiny na 90-lecie schroniska. Byliśmy tam razem ze Zbigniewem Jaskiernią. Spotkaliśmy się także na Diablaku. Ostatnie nasze spotkanie miało miejsce pomiędzy ul. Św. Jana i Pocztową w Katowicach w roku 2008. Należy podkreślić, że z każdego spotkania coś nowego wyniosłem i zostałem ubogacony. Jeszcze był w bardzo dobrym zdrowiu. W niedzielę 15.07.2007 r. w kościele pw. św. Józefa w Katowicach-Józefowcu-odprawiona została msza w intencji ks. Pawlika z okazji 65 lecia święceń kapłańskich. Ks. Pawlik także swoje podziękowania złożył w kaplicy Cudownego Obrazu w Częstochowie wraz z grupą parafian śląskich w strojach ludowych, podkreślających jego pochodzenie.

Niestety 90-urodzin już nie mógł obchodzić. Cześć Jego pamięci.

Opracował: Krzysztof Czesak.

***Polskie Towarzystwo Tatrzańskie Oddział w Łodzi
Ośrodek Inicjatyw Społeczno-Kulturalnych ŁDK***

***zapraszają na
DNI GÓR 2009***

STO LAT TEMU W ZAKOPANEM-BOHATEROWIE TAMTYCH DNI

22-24.IV, Łódzki Dom Kultury ,ul. Traugutta 18

22.IV- Dzień Tytusa Chałubińskiego, godz.18:00- sala nr 6

- „Tytus Chałubiński”- film Jacka Zygadły z cyklu :Zdobycy Karpat
- „Życie Tytusa Chałubińskiego-przybliży Barbara Petrozolin- Skowrońska, autorka książki „Król Tatr z Mokotowskiej 8”
- Wyprawy górskie Tytusa Chałubińskiego-prelekcja Krzysia Pietruszewskiego ilustrowana filmami i zdjęciami
- Występ zespołu folklorystycznego „Zawatarnik” z Leśnicy-Gronia

23.IV- Dzień Mieczysława Karłowicza, godz.18:00- sala nr 6

- „Wzdłuż grani Tatr”- film Andrzeja Kozłowskiego o narciarskim przejściu od Zuberca do Tatr Bielskich
- „Serenada” Mieczysława Karłowicza- na skrzypcach zagra Justyna Frątczak, uczennica OSM I i II stopnia im. H. Wieniawskiego w Łodzi
- „Twórczość, osiągnięcia tatrzańskie, życie i śmierć Mieczysława Karłowicza- gawęda Jacka Karczewskiego, ilustrowana zdjęciami *
- „Pieśni Mieczysława Karłowicza w wykonaniu barytona Zbigniewa Maciasa, solisty Teatru Muzycznego

24.IV-Dzień Mariusza Zaruskiego, godz.18:00- sala nr 6

- Mariusz Zaruski- stulecie utworzenia Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego oraz pokaz zdjęć i filmów z pierwszych lat działalności TOPR- przedstawi Roman Szadkowski, ratownik TOPR, przewodnik tatrzański, instruktor wspinaczki.
- Konkurs z nagrodami dla publiczności
- Godz.20:00- Duże Kino ŁDK- Występ zespołu „Turnioki”

Imprezie towarzyszyć będą:

- XIX- wieczna turystyka tatrzańska- wystawa starych rycin i pocztówek ze zbiorów Tatrzańskiego Parku Narodowego (9-30.IV- Kawiarnia Łódka) oraz Mieczysław Karłowicz- Muzyka i Tatry-wystawa zdjęć autorskich kompozytora (22-30.IV- sala Nr 6), stoiska z książkami o tematyce górskiej oraz potrawy i wyroby regionalne.

„ W piątek, trzynastego ruszył atak na Broad Peak”-Przedruk z „Dziennika Zachodniego”-14-15.02.2009

Artur Hajzer i pozostali uczestnicy zimowej na Broad Peak w Karakorum najwyraźniej nie są przesądni. Wczoraj, mimo feralnej daty (piątek, trzynastego) pochodzący z Mikołowa himalaista wraz z gdańszczaninem Robertem Szymczakiem i kanadyjskim wspinaczem Donem Bowie ruszyli z bazy do ataku na ten ośmiotysięcznik. Do szczytu mają dotrzeć w poniedziałek. Jeśli im się powiedzie, będą pierwszymi wspinaczami, którzy zdołają Broad Peak zimą.

Prowadzona przez Hajzera ekspedycja od miesiąca czeka na poprawę pogody. Jak do tej pory wspinaczom udało się dotrzeć do wysokości 7000 metrów n.p.m. (wierzchołek Broad Peak jest na wysokości 8047 metrów n.p.m.). Stawiane przez meteorologów prognozy nie są optymistyczne - w najbliższym czasie okresy dobrej pogody nie mają szans utrzymać się dłużej niż dwa dni, a wejście z bazy na szczyt i zejście zajmuje około czterech dni. Mimo tego na wieść

o szykującym się w niedzielę i poniedziałek „oknie pogodowym” (jest szansa na odrobinę słońca, brak opadów, a wiatr nie powinien już przekraczać 60 km na godz.) wspinacze postanowili spróbować.

- Pierwsze dwa dni będą szli w kiepskiej pogodzie, ale powinno być dobrze, bo droga została wcześniej zaporęczowana. Później, kiedy wyjdą w teren niezaporęczowana pogoda po-

winna się poprawić. W niedzielę powinni dojść na wysokość 7700 m. n.p.m., tam przenocują w obozie szturmowym, a w poniedziałek zaatakują wierzchołek. Do bazy powinni wrócić we wtorek - mówi Grzegorz Chwoła z organizującej wyprawę firmy HiMountain.

Jak do tej pory Artur Hajzer ma w swym dorobku pięć zdobytych ośmiotysięczników.

Michał Wronski



SERCE ZOSTAŁO W...

...jak na tę chwilę w **Australii**, bo właśnie wróciłem z wyprawy na Górę Kościuszki (2228 m n.p.m.). Szczyt zdobyłem 30 stycznia, razem z Kubą Jakubczykiem, moim przewodnikiem, którego poznałem na zajęciach sekcji wspinaczkowej na Uniwersytecie Gdańskim, i z Wojtkiem Ostrowskim. Dopisała nam pogoda, było ciepło i słonecznie - warunki komfortowe. W pewnej chwili Kuba powiedział, że został nam jeszcze jeden trawers do pokonania, czyli godzina drogi. No więc szedłem i szedłem, aż nagle on ustawia mnie przy kamiennym słupku i mówi: - No, młody, to jesteś!

Nie pierwszy raz mnie tak zaskoczył - podobnie było na Kilimandżaro. W pewnym momencie czuję, jak Kuba poklepuje mnie po ramieniu i nagle stwierdza: - Zapomniałem ci powiedzieć - jesteś na szczycie!

Niezapomniana przygoda... miała miejsce w lutym 2007 r. podczas mojej pierwszej górskiej wyprawy na Aconcaguę (6962 m n.p.m.), najwyższy szczyt Andów. Dotarliśmy do głównej bazy na wysokości 4300 m n.p.m. i zastanawiałem się, czy iść dalej. W końcu podjąłem decyzję - następnego dnia ruszyliśmy skoro świt. Po przejściu zaledwie stu metrów, na śliskim stromym podejściu... zwichnąłem sobie rękę. Na dół zwiózł mnie helikopter. Jednak to mnie nie zniechęciło. Miałem okazję się przekonać, jak to jest wędrować z 15-kilogramowym plecakiem, w rakach, po lodzie i w śniegu, i ile siły może z siebie wykręcać organizm. A już w czerwcu Kuba zadzwonił, że szykuje się wyjazd na Kilimandżaro.

Niebo w gębie poczułem... w Argentynie. Czekaliśmy z Wojtkiem na resztę ekipy, która została na Acon-



Kilimandżaro



W drodze na Aconcaguę

caguę i całymi dniami włożyliśmy się po Mendozie, ja na wózku z nogą w stabilizatorze. Nigdy nie zapomnę soczystych, rozpylających się w ustach serek podawanych z opiekunymi ziemniakami i sałatką z pomidorów.

Niezapomnianą chwilę przeżyłem na szczycie Kilimandżaro (5895 m n.p.m.) w lutym 2008 r. Stałem pod tablicą i zaczęliśmy kręcić materiał dla telewizji. Ale zaraz ścisnęło mnie w gardle i popłakałem się... Nie dlatego, że byłem pierwszym niewidomym Polakiem, który tu dotarł (zawsze są ci pierwsi, ostatni i ci pośrodku). Chodziło raczej o to, że w ogóle tu wszedłem. Bo w pamięci wciąż miałem niepowodzenie na Aconcaguę, a przecież, jak powiedział Kuba, tam-

ten szczyt był w zasięgu moich możliwości. A teraz stałem jakby nigdy nie na Kilimandżaro, mimo że podejście było naprawdę strome. Wspinaliśmy się ostro pod górę, Kuba szedł pierwszy i rzucał mi linę. Zresztą cały wyjazd był bardzo burzliwy: umowę ze sponsorem podpisałem, jadąc na lotnisko, miałem tymczasowy paszport, bo na dwa dni przed wyjazdem zorientowałem się, że stary jest już nieważny.

Ale czasem tak trzeba - nie zastanawiać się i jechać. Kiedy się jest aktywnym, ludzie nie zauważają kalektwa. Na Aconcaguę ludzie, których spotkaliśmy w bazie, myśleli, że dostaliśmy ślepoty śnieżnej. A na Kilimandżaro nie rozumieli, czemu trzymam się plecaka kolegi. Kuba odpowiadał im, że ja tylko nie widzę.

Z drugiej strony należy wiedzieć, kiedy się wycofać, np. nie udało mi się zdobyć szczytu Elbrus (5642 m n.p.m.) na Kaukazie. Zszedłem z 5100 m n.p.m. - uważam, że jeśli ktoś, kto mi pomaga, czuje się za mnie odpowiedzialny, tak i ja muszę być odpowiedzialny za niego. Ale działać zawsze trzeba i pomagać szczęściu - tego się nauczyłem. Kuba powiedział kiedyś, że jak się coś sensownie planuje, to jest to samo-spełniająca się przepowiednia. Nie wiem, jak mu podziękuję za to, że otworzył mi drzwi na świat. Nawet rodzina już się przyzwyczaiła do moich wypraw. Kiedy jechałem na Aconcaguę, wpadli w panikę, na Kilimandżaro - powiedzieli: „A rób, co chcesz”, a na Elbrus - już tylko: „A co my możemy...”. Dzisiaj piszą do mnie ludzie z całej Polski. Mężczyzna chory na raka, czytając o moich wyprawach, postanowił, że jeszcze coś w życiu zrobi.

Miło wspominam też... Norwegię. Dostałem stypendium do United World College i zrobiłem tam międzynarodową maturę. Wtedy po raz pierwszy zacząłem jeździć na biegówkach i nartach zjazdowych. Z trzema kolegami wybraliśmy się też na inter-rail (podróż pociągami) po Skandynawii. To była prawdziwa włóczęga z 8-kilogramowym plecakiem. Na promie do Sztokholmu nie wykupiliśmy kabiny, bo była za droga, i spaliśmy na pokładzie z torbami przywiązanymi do ręki. Mieliliśmy tylko dziewięć dni, więc wszystko zwiedzaliśmy w biegu, ale to było dobre, bo nie miałem dużo czasu na myślenie, co ja właściwie robię. Koledzy opisywali mi, co widzą, a ja układałem to sobie w głowie i próbowałem wyobrazić. Chciałbym jeszcze kiedyś taką wyprawę powtórzyć.

W najbliższym czasie planuję... wyprawę na Newtonoppen (1717 m n.p.m.) - najwyższy szczyt Spitsbergenu. Chciałbym też wybrać się na obóz żeglarski z Kubą, bo - jak mawiają alpinści - „nie można ciągle siedzieć w górach, bo w końcu się w nich zostaje”.

NOT. MONIKA A. UTRIK

*Paweł Urbanski realizuje projekt Korona Ziemi, czyli wyprawę na siedem najwyższych szczytów świata: www.e-urbanski.pl

turystyka

REDAGUJA:
Alicja Dąbrowska, Małgorzata Kluźnik
turystyka@ogaro.pl
TEL. 0 22 555 65 96
FOTOREDAKTOR: Jerzy Nogal
OGŁOSZENIA: 0 22 555 63 36
Na okładce: Złoty Kark w kopalni Królów Łuży
Zdjęcie: Jacek Dędek

„Tam było tak bajecznie pięknie”-Przedruk z „Rzeczpospolitej”-9.04.2009



„Żeby umrzeć, trzeba żyć. On żył z całą pewnością – napisał jeden z internautów na wiadomość o śmierci Piotra Morawskiego

Tam było tak bajecznie pięknie

PIOTR MORAWSKI NIE ŻYJE | W lodowej szczelinie na stokach ośmiotysięcznika Dhaulagiri zginął wczoraj najwybitniejszy polski himalaista młodej generacji. Miał 32 lata. Ciało wspinacza wydobyli ratownicy Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, którzy wspinają się w tym masywie w ramach swojej wyprawy

MONIKA ROGOZIŃSKA

Piotr Morawski schodził w trzyosobowym zespole z obozu II. Na wysokości 5760 m wpadł do rozpadliny o głębokości 20 m. W tej okolicy wspinali się też uczestnicy ekspedycji TOPR wraz z lekarzem. Z partnerem Piotra - Słowakiem Peterem Hamorem, wyciągnęli alpinistę ze szczeliny. Próby reanimacji nie dały rezultatu. Lekarz stwierdził zgon.

Tatry Morawski poznał w wieku 19 lat. „Pierwszy raz kolega zabrał mnie w góry zimą, przegonił po Orlej Perci i już wiedziałem, co chcę robić” - opowiadał. Wspinał się najchętniej w zimie, bo to było najtrudniejsze.

Wschody słońca

Osiem lat temu po raz pierwszy trafił w wysokie góry Azji - Tien-Szan. Po dwóch wyprawach, na których nie przekroczył wysokości 7000 m, dostał się na wyprawę najtrudniejszą z trudnych: zimową na drugi szczyt świata K2 (8611 m) od północnej, chińskiej strony. Tam poznał swoje możliwości.

Dotarł wówczas wraz z dwoma towarzyszami najwyżej w dziejach zdobywania tej ściany zimą, na wysokość 7650 m. Chciał wspiąć się dalej, ale jego ówczesny mistrz, Kazach Denis Urubko, kazał mu schodzić do bazy, gdy zobaczył, w jakim stanie są palce u nóg Morawskiego.

Pamiętam z tamtej wyprawy moment szczególny. Siedziałam na skraju bazy w swoim namiocie pisząc na komputerze korespondencję. Wiatr przestał wycić, więc usłyszałam kroki Piotra. W ciemności nocy zbliżał się do bazy. Zawołałam. Piotr otworzył suwak wejścia, wpuścił zmrożone powietrze i od razu zaczął opowiadać z zachwytem: „Tam było tak bajecznie pięknie! Żebyś widziała wschody słońca. Okropnie nie chciałem schodzić. Jak tylko podlecę palce, to zaraz wrócę do góry, za kilka dni...”

Był szczęśliwy. Pomyślałam wtedy o jego żonie, o pracy, którą tak lubił. Zrozumiałam, że góry go wchłonęły bezpowrotnie. Wspiąć się na tej wyprawie już nie mógł. Po powrocie do kraju miał amputowany palec stopy.

Najwyższe cele

Coraz trudniej było mu gościć życie rodzinne i zawodowe z pasją, jaką stał się himalaizm. Dawny stypendysta naukowy w Metz we Francji i w Republice Południowej Afryki, obronił doktorat na Wydziale Chemicznym Politechniki Warszawskiej. Został adiunktem na tej uczelni. Do wypraw przygotowywał się

profesjonalnie. Trenował, uczestniczył w maratonach. Wbiegał po schodach wieżowców warszawskich obciążony plecakiem. Po mieście jeździł rowerem. Wielokrotnie spotykałam go przemykającego między samochodami.

Z zażenowaniem mówił, że teraz już go chyba wreszcie wyrzucą z uczelni z powodu następnej wyprawy. Znał też tracącą cierpliwość. Rozstawali się i wracali do siebie. Mieli dwóch synów. Piotr dla rodziny rezygnował z ekspedycji, a potem wracał w góry.

Stawiał sobie w nich najwyższe cele: nowe drogi, styl alpejski, zimowe wspinaczki. Rok po amputacji palca pojechał zimą na następny ośmiotysięcznik. Zdobył ich do tamtej pory zimą siedem z 14 istniejących. Na Shisha Pangma (8027 m) w Tybecie wszedł podczas drugiej swojej ekspedycji na tę górę.

Niosło go do góry

Był to pierwszy skuteczny atak na ośmiotysięcznik po 17 latach zimowych starań wielu wypraw. - Na grani posuwali-

śmy się skokami, dopasowując do rytmu uderzeń wiatru - opowiadał po powrocie. - Pierwszy raz byłem na wysokości 8000 m. Trochę się bałem, nie wiedząc, jak zareaguje mój organizm. Nagle podniosłem głowę. Stałem na szczycie. Do bazy doszedłem zupełnie świeży. Poczucie siły jest wrażeniem rozpięającym!

Dariusz Załuski, kolega na tej wyprawie, powiedział wówczas o wspinaczce Piotra: - Niosło go do góry.

Na swojej stronie internetowej napisał, że jego plany to nowe drogi w Himalajach oraz cie-

kawe i wymagające przejścia. Zdobył sześć ośmiotysięczników: Shisha Pangmę, Cho Oyu (8201 m), Broad Peak (8047 m), Nanga Parbat (8125 m). W stylu alpejskim, bez obozów wspiął się na Gasherbrum I (8068 m) oraz Gasherbrum II (8035 m).

Pasję umiejętnie przekształcił w zawód. Wygłaszał prelekcje dla firm. Czasu nie tracił. Telewizora nie nosił i nie miał go w domu.

Pasjonowała go fotografia. Świetnie pisał. Na wyprawach nie rozstawał się z elektronicznym notatnikiem. Publikował artykuły o wspinaczce i prace naukowe. Został wiceprezesa Polskiego Związku Alpinizmu.

Uczynny, wręcz usługowy

„Był bardzo bezpośredni, skromny - mówi poprzedni wiceprezes PZA Jerzy Natkański. - Zналиśmy się nie tylko z gór. Biegaliśmy razem maratony. Ależ on był sportowo zacięty, zdeterminowany na osiągnięcie celu. W życiu towarzyskim nato-

miast uczynny, wręcz usługowy, potrafił załatwiać trudne sprawy skutecznie mediując między skłóconymi stronami.

Natkański podkreśla, że Piotr, choć młody wiekiem, utożsamiał się z wartościami starszego pokolenia, wyznającymi zasadę partnerstwa, niesienia pomocy w każdych okolicznościach.

Nie było to gołosłowne. Cofnął się z drogi na szczyt Broad Peak, żeby sprowadzić austriackiego wspinacza. Następnego dnia wszedł samotnie na wierzchołek. Długotrwała i wyczerpująca akcja ratunkowa na wyprawie na Annapurnę, gdy sprowadzał tybetańskiego alpinistę porażonego ślepotą śnieżną, zamknęła mu szansę zdobycia szczytu.

Celem ostatniej jego wyprawy była nowa droga na zachodniej ścianie Manaslu (8156 m) w Himalajach Nepalu. Wspinaczka na siódmy co do wysokości szczyt świata, trudną Dhaulagiri (8167 m), trasą pierwszych zdobywców, miała być jedynie aklimatyzacją przed osiągnięciem ważniejszego celu.

Bez liny

Być może popełnił błąd. - W terenie, którym się poruszał, pełnym szczelin, ja szedłem związany liną z partnerem. Tam strach jest iść inaczej. Piotr tego nie zrobił - mówi Artur Hajzer, jeden z najbardziej doświadczonych polskich himalaistów.

Na pewno zrobiono wszystko, by go uratować. Ostatniej pomocy Piotrowi udzielali koledy ratownicy, którzy byli u początków jego kariery w najwyższych górach, na zimowej wyprawie na K2.

Właśnie wtedy pokochał najwyższe góry i największe wyzwania.

Zginął polski himalaista

Dorota Kowalska, BUS

Podczas wyprawy na Manaslu zginął Piotr Morawski, jeden z najbardziej znanych polskich himalaistów. Wyprawa, na którą wybrał się z Peterem Hamorem, miała potrwać około dwóch miesięcy i była kolejnym etapem Tryptyku Himalajskiego, w ramach którego obaj himalaiści zdobyli w 2006 roku ośmiotysięcznik Cho Oyu, a Morawski po samotnym ataku szczytowym także ośmiotysięcznik Broad Peak. Uczestnicy wyprawy mieli zaplanowane wyjście aklimatyzacyjne normalną drogą na Dhaulagiri.

Był jednym z najzdolniejszych, najlepiej zapowiadających się himalaistów młodego pokolenia – mówi Marek Wierzbowski, sekretarz generalny Polskiego Związku Alpinizmu i przyjaciel Morawskiego.

Według relacji uczestników wyprawy, jaką usłyszał Wierzbowski, tragedia wyglądała tak: trzyosobowy zespół himalaistów, czyli Piotr Morawski, Peter



Piotr Morawski

Hamor i Justyna Szczepieniec, schodził z obozu II, położonego na wysokości 6400 metrów w dół. Szczelina, do której wpadł Morawski, znajdowała się jakieś 700 metrów niżej. Miała 20 metrów głębokości.

Wypadek wydarzył się około godz. 8.40 czasu lokalnego. W tym samym czasie do góry, do obozu I, podchodził ze-

spół himalaistów Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego, wśród których byli lekarz Roman Mazik, Maciej Pawlikowski i Tomasz Witkowski. Na dno szczeliny zszedł Peter Hamor, a trójka towarzyszy wyciągnęła Morawskiego na zewnątrz. Reanimacja nie przyniosła rezultatów.

Piotr miał pecha. Zdarzało się, że alpinści przeżywali takie upadki – mówi Wierzbowski. I dodaje, że Morawski był bardzo zaangażowany społecznie, między innymi wiceprezesując Polskemu Związkowi Alpinizmu.

Piotr Morawski urodził się 27 grudnia 1976 roku. W chwili śmierci w dalekim Nepalu miał zatem zaledwie 33 lata. Warto dodać, że 14 stycznia 2005 roku Morawski i Simone Moro jako pierwsi himalaiści w historii zdobyli zimą ośmiotysięcznik Sziszapangma. W 2006 roku w ramach wyprawy o nazwie Tryptyk Himalajski zdobył dwa kolejne ośmiotysięczniki: 24 kwietnia wraz ze Słowakiem Peterem Hamorem Czo Oju, a 9

lipca Broad Peak, po samotnym ataku szczytowym. W ramach Tryptyku Himalajskiego zdobył również, wraz z Piotrem Pustelnikiem, wschodni wierzchołek Annapurny (8010 m n.p.m.), po czym musiał zawrócić z uwagi na konieczność udzielenia pomocy tybetańskiemu himalaistcie, który doznał ślepoty śnieżnej.

15 lipca 2007 roku o godz. 13.40 czasu lokalnego po dwunastogodzinnej akcji szczytowej, w zespole polsko-słowackim, wraz z Peterem Hamorem i Dodo Kopoldem zdobył szczyt Nanga Parbat drogą Kinshofera, w ramach aklimatyzacji przed głównym celem, niezdobytą wówczas zachodnią ścianą K2. Realizując projekt Trawers Gaszerbrumów od I do III, zdobył też 25 czerwca 2008 roku Gaszerbrum I i 6 lipca 2008 roku Gaszerbrum II.

Morawski pracował na Wydziale Chemicznym Politechniki Warszawskiej, był doktorem nauk chemicznych.

„Legendarny kurier Tatr”- przedruk z „Dziennika Zachodniego”- z 10.02.2009
„Przewodnik Rydza-Śmigłego”- Przedruk z „Rzeczpospolitej”- z 9.02.2009

Zmarł Stanisław Frączysty, były więzień KL Auschwitz

Legendarny kurier Tatr

Jak nas poinformował Adam Cyra, historyk Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, w sobotę 7 lutego nad ranem w swoim rodzinnym Chochołowie na Podhalu zmarł w wieku 92 lat Stanisław Frączysty, legendarny kurier tatrzański na szlaku Chochołów-Budapeszt, żołnierz Armii Krajowej, więzień gestapo i obozów koncentracyjnych Auschwitz i Buchenwald.

Urodził się 5 lutego 1917 roku w Chochołowie. Jak poinformował Paweł Wodniak na stronie internetowej „Fakty Oświęcim”, Frączysty jako żołnierz ruchu oporu wstąpił się brawurową akcją polegającą na przeprowadzeniu w październiku 1941 roku przez zieloną granicę z Węgier do Polski marszałka Edwarda Śmigłego-Rydza. W rocznicę tego wydarzenia do Frączystego przyjeżdżali byli więźniowie KL Auschwitz, by wspominać wojenne czasy i rozmawiać przy góral-



Stanisław Frączysty

skiej muzyce. Stanisław Frączysty w ręce nazistów wpadł 22 lutego 1942 roku. Przebywał najpierw w willi Palace, katowni gestapo w Zakopanem, a później na Montelupich w Krakowie. 26 marca wywieziono go do KL Auschwitz,

gdzie otrzymał numer obozowy 27235. Początkowo zatrudniony był przy budowie zakładów Buna-Werke, linii kolejowej w pobliżu Auschwitz i w kilku innych komandach roboczych. Pod koniec 1944 roku z grupą kilkuset więźniów trafił do KL Buchenwald. Wyzwolenie dla niego przyszło w kwietniu 1945 roku.

Frączysty po kilkumiesięcznym pobycie w amerykańskiej strefie okupacyjnej wrócił do Polski. W 1949 roku Urząd Bezpieczeństwa aresztował go... za współpracę z obcym wywiadem. Po kilku tygodniach więzienia bezpieka zwolniła jednak legendarnego kuriera. Frączysty wiódł żywot rolnika-gazdy w rodzinnym Chochołowie.

„Nigdy nie zabiegał o zaszczyty dla siebie. Upominał się o innych. Doprowadził do uprządkowania mogił żołnierzy rozstrzelanych przez Niemców w grudniu 1939 roku w Cho-

chołowie, grobów partyzantów „Ognia” poległych w rejonie Chochołowa w 1947 roku” – można przeczytać na stronie Auschwitzmemento.pl.

Przyczynił się również do położenia pamiątkowych kamieni upamiętniających powstanie chochołowskie, miejsce, w którym przekroczył granicę Rydz-Śmigły, a na ścianie domu Franciszka Frączystego, w którym powołano oddział Dywersji Pozafrontowej, gdzie znajdował się kurierski punkt kontaktowy i gdzie zatrzymywali się wszyscy prowadzeni przez niego do kraju pilsudczy, wmurował pamiątkową tablicę. Za odwagę w pełnieniu służby kurierskiej w warunkach bojowych i za niezłomną postawą wobec wroga po uwieszeniu, Frączysty odznaczony został Orderem Virtuti Militari. Kilka lat temu otrzymał od prezydenta RP Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. BUS

Przewodnik Rydza-Śmigłego

1917 – 2009

STANISŁAW FRĄCZYSTY

W sobotę rano w swoim domu w Chochołowie zmarł Stanisław Frączysty – żołnierz, kurier Armii Krajowej, więzień obozów koncentracyjnych Auschwitz i Buchenwald. Miał 92 lata.

Tuż po wybuchu wojny w 1939 r. 22-letni Staszek, podobnie jak jego bracia i siostry, zaangażował się w działalność konspiracyjną. W 1940 roku trafił do Budapesztu, gdzie za przysiężono go na kuriera. Organizuje własne trasy przerzutowe, nosi przesyłki, przeprowadza na Węgry ludzi poszukiwanych przez gestapo w Polsce. W październiku 1941 r. otrzymuje zlecenie przeprowadzenia do Polski „bardzo ważnej osoby”. Po latach będzie wspominał: „Wprowadzono mnie do jednego z pokoiów, gdzie za biurkiem siedział starszy mężczyzna w kapeluszu, w grubych okularach, z sumiastym wąsem. Obecni odnosili się do niego z wielkim szacunkiem, tytułując go profesorem. (...) W trakcie omawiania trasy profesor wtrącał uwagi, pytał o najdrobniejsze szczegóły, po-

ślugując się przy tym fachowym słownictwem wojskowym. Zaczęłam uważnie przyglądać się mojemu rozmówcy. Twarz wydawała mi się znajoma. (...) Podczas podróży dys-

kretnie obserwuję profesora. Teraz w dziennym świetle rysy twarzy tego człowieka są wyraźniejsze. Moje poprzednie przypuszczenia przeradzają się w pewność. Jest to marszałek Edward Rydz-Śmigły, do niedawna naczelny wódz. Jestem tym mocno poruszony”. Równie poruszające są wspomnienia z momentu przekroczenia granicy: „Jesteśmy w Polsce. Wzruszenie ścisła gardło. W pewnej chwili marszałek rozgrzebuje rękami śnieg i zaczyna całować ziemię. Przez moment nie bardzo wiem, co robić. Na sentymenty nie ma jednak czasu. (...)” Tamta wyprawa zakończyła się sukcesem. Podczas kolejnej – rok później, 22 lutego 1942 r., Frączysty wpadł. Został uwięziony w cieszącej się na Podhalu złą sławą katowni gestapo. Po kilku tygodniach nieludzkich przesłuchań, podczas których twarde odmawiał zeznań, przetransportowano go do KL Auschwitz. Odtąd stał się numerem 27235. Pod koniec 1944 r. przeniesiono go do KL Buchenwald. Z

tego obozu udało mu się uciec. Ale na granicy czesko-niemieckiej dopadli go strażnicy. Znowu trafił do Buchenwaldu. W 1945 r. obóz wyzwolił Amerykanie. Kilka miesięcy później Frączysty wrócił do Polski. W 1949 r. upominał się o niego UB. „Było codzienne maglowa-

nie i pytanie, dlaczego wróciłem do Polski, co robiłem u Amerykanów. Próbowano mi wcisnąć, że jestem agentem obcego wywiadu i takie tam różne głupoty. W końcu wypuścili mnie. Od tego czasu nie byłem już niepokojony” wspominał. Wrócił do Chochołowa i zajął się uprawą ziemi. Trzy lata temu uczestniczył w jeszcze jednym ważnym wydarzeniu – 28 maja 2006 r. był jednym z 32 byłych więźniów, którzy pod Ścianą Śmierci w byłym obozie Auschwitz spotkali się z papieżem Benedyktem XVI. Stanisław Frączysty za patriotyzm i odwagę został wyróżniony najważniejszymi polskimi odznaczeniami: Orderem Virtuti Militari i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

— Kamila Baranowska



• Stanisław Frączysty podczas spotkania z papieżem Benedyktem XVI w 2006 r.

„Himalaiści przegrali z pogodą”-Przedruk z „Dziennika Zachodniego” z 18.02.2009

„Wspinacze odpuścili, góra nadal niepokonana”-Przedruk z „Dziennika Zachodniego” z 3.03.2009

Himalaiści przegrali z pogodą

Michał Wronski

Prowadzeni przez Artura Hajzera wspinacze przegrali starcie z Broad Peak. Po trwającym całym dniem ataku na ten położony w Karakorum ośmiotysięcznik trójka himalaiistów – prócz pochodzącego z Mikołowa Hajzera w wyprawie udział bierze jeszcze gdańszczanin Robert Szymczak i Kanadyjczyk Don Bowie – wróciła do bazy.

Wcześniej udało im się dotrzeć tylko do obozu III na wysokości 7000 metrów n.p.m. Zamiast spodziewanego okna pogodowego, które dałoby im

szansę ruszyć na niezdobyty do tej pory zimą wierzchołek Broad Peak (8047 m n.p.m.) rozpuścił się śnieżny huragan. Jeden z towarzyszących wspinaczom Pakistańczyków doznał odmrożenia rąk. Po trzech bezsennych nocach i braku perspektyw na poprawę pogody himalaiści zdecydowali się zejść do bazy. Mimo niepowodzenia o definitywnym zakończeniu wyprawy nikt jednak jeszcze nie mówi.

– Dopóki jest zima mogą próbować, bo zezwolenie mają. Wszystko zależy od tego, czy pogoda da im szansę, na jak długo starczy im jedzenia, ben-



Wspinacze w drodze na Broad Peak

zyny i gazu, a przede wszystkim czy będą mieli dość siły i determinacji, by podjąć kolejny atak

– powiedział nam Grzegorz Chwoła z organizującej wyprawę firmy HiMountain.

Wspinacze odpuścili, góra nadal niepokonana

Prowadzona przez Artura Hajzera zimowa ekspedycja na Broad Peak w Karakorum zrezygnowała z dalszych prób zdobywania niepokonanego do tej pory zimą szczytu. Jak tłumaczy pochodzący z Mikołowa himalaista, prognozy meteorologiczne nie dawały szans, by podjąć skuteczny atak.

W trwającej od grudnia wyprawie prócz Hajzera udział bierze jeszcze pochodzący z Trójmiasta Robert Szymczak i Kanadyjczyk Don Bowie. Od początku ekspedycja nie miała szczęścia do aury, która nie pozwalała przekroczyć im magicznej bariery 7000 metrów n.p.m. (wierzchołek Broad Peak ma 8047 metrów n.p.m.).

Przeprowadzona w drugiej dekadzie lutego próba ataku szczytowego zakończyła się fiaskiem – przy huraganowym wietrze osiągniętym 90 km/godz. i temperaturze minus 35 stopni Celsjusza wspinacze osiągnęli wysokość 7000 metrów n.p.m. Dalej nie było szans na kontynuowanie wspinaczki. Nie było też nadziei na poprawę pogody, a zniszczone obozy i doznane przez jednego

z towarzyszących wyprawie Pakistańczyków odmrożenia nakażywały raczej schodzić do bazy.

Po powrocie wspinacze nie wykluczali możliwości ponownej próby. Prognozy meteo roszyły ich złudzenia – do końca zimy pogoda nie poprawi się

na tyle, by atak miał szansę powodzenia. W tej sytuacji wspinacze podjęli decyzję o likwidacji bazy i rozstawionych w górach obozów.

Obecnie himalaiści przemierzają lodowiec Baltoro, do Polski wrócą za kilka dni.

Michał Wronski



Artur Hajzer w obozie II w drodze na Broad Peak

Mieczysław Karłowicz – kompozytor i taternik

100 lat temu – 8 lutego 1909 roku – zginął w Tatrach Mieczysław Karłowicz, polski kompozytor i dyrygent. Był znany z kompozycji symfonicznych, a zarazem uważany za mistrza poematu symfonicznego. Jest zaliczany do nurtu późnego romantyzmu. Był też zamiłowanym taternikiem, fotografikiem i publicystą. Żył zaledwie 33 lata.

Komponował m.in. poematy symfoniczne, np. Rapsodię litewską op.11, Smutną opowieść op.13, Odwieczne Pieśni op.10, Symfonię Odrodzenie op.7, Koncert skrzypcowy A-dur op.8; pieśni na głos i fortepian, np. Przed nocą wieczną op.3/6, Zaczarowaną królową op.3/10, Na spokojnym, ciemnym morzu op. 3/4; muzykę do dramatu Bianca de molena (Biała gołąbka) op.6; Serenadę op.2 na smyczki.

Urodził się 11 grudnia 1876 r. w Wiszniewie na Litwie. Od dzieciństwa był wychowywany w muzycznej atmosferze, a od 7. roku życia pobierał naukę gry na skrzypcach. Już w czasie studiów rozpoczął komponowanie. Zajmował

się także publicystyką muzyczną. W 1903 r., w ramach Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego, założył orkiestrę smyczkową.

Karłowicz poznawał Tatry od 1889 r., ale z górami związał się dopiero w 1902 r. W 1907 r. osiadł na stałe w Zakopanem. Działał w Towarzystwie Tatrzańskim. Był znakomitym taternikiem. Początkowo wspinał się z Klimkiem Bachledą, znanym góralskim przewodnikiem, potem już samodzielnie, często samotnie. Zdobył wiele szczytów.

Był również jednym z pionierów narciarstwa, które uprawiał od 1907 r. i działaczem Zakopiańskiego Oddziału Narciarzy. Miał na swoim koncie m.in. pierwsze przejście na nartach z Hali Gąsienicowej przez Lillowe, Zawory i Koprową Przełęcz do Szczyrbskiego Jeziora.

Pasjonował się fotografią; jego piękne zdjęcia tatrzańskie ukazały się w albumie „Karłowicz w Tatrach”.

Zajmował się publicystyką, w której popularyzował góry. Wraz z Mariuszem Zaruskim stworzyli podwaliny Tatrzańskiego Ochotniczego Pogotowia Ratunkowego.

8 lutego 1909 roku Mieczysław Karłowicz zginął w Tatrach przysypany lawiną na wschodnich zboczach Małego Kościelca, w trakcie wycieczki narciarsko-fotograficznej.

Dzisiaj w tym miejscu stoi kamień-pomnik zwany Kamieniem Karłowicza z napisem: „Non omnis moriar” (nie wszystkich umrę). //



Mieczysław Karłowicz

not reprodukcja

LAWINA 8 LUTEGO 1909



Mieczysław Karłowicz

był znakomitym taternikiem, autorem wielu klasycznych tatrzańskich dróg.

Jako pierwszy samotnie zdobył Wielką Kołową Turnię i Ciężką Turnię.

Do niego należą też pierwsze zimowe

wejścia na Kościelec, Wołoszyn

i Żółtą Turnię. Kompozytor był także

prekursorem narciarstwa w Tatrach.

Wstąpił się przejściem z Hali Gąsienicowej

przez przełęcz: Liliowe,

Zawory i Koprową

do Szczyrbskiego Jeziora.

8 lutego 1909 r. zginął w lawinie

na wschodnich zboczach

Małego Kościelca, w trakcie wycieczki

narciarsko-fotograficznej

Na zdjęciu: Mieczysław Karłowicz

na nartach, w dole Zakopane z wieżą

kościółka pw. Świętej Rodziny

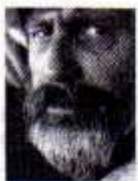
na Krupówkach. Inicjatorem budowy

kościółka (zwanego nowym) był inny wybitny

taternik, pierwszy proboszcz

Zakopanego, zmarły w 1893 roku

ksiądz Józef Stolarczyk



ANDRZEJ
CHŁOPECKI

krytyk muzyczny,
publicysta,
Polskie Radio

•• „A od zachodu mgły się podnoszą; z początku bieleją w postaci kilku chmurków błędnym - powoli idą ku sobie, spotykają się, łączą się, gęstnieją, toczą się białym wałem cicho, uroczysto. Coraz szerzej osłaniają dolinę; już dosięgły mojego stanowiska - już je oblały dokoła. Rozlewają się dalej - i oto cała dolina zniknęła. Lasy i wody, wście i pola, wzgórze i błonia, wszystko, co księżyc tak pięknie przed chwilą oświecał - w tej chwili zagąsło pod mgłą morzem. Prawdziwe to morze. Kłęby tumanu burzą się jak poruszone fale, przewalają się przez siebie nawzajem; cała masa jednym ruchem zdaje się kołysać, cichnie, a jednocześnie siwa barwa rozlewa się po powierzchni całego tego ogrodu” (Seweryn Goszczyński, „Dziennik podróży do Tatrów” - „Mgła poranna w górach”, 1 października 1832 r.).

Góry i ich zew, owe „góry niewzruszone” (za Jackiem Woźniakowskim), to z krwi i kości projekt romantyczny i aż żal, że Fryderyk Chopin nie zaplanował swej podróży do Paryża tak, by po drodze zatrzymać się z Sewerynem Goszczyńskim w Tatrach, posłuchać podhalańskich gajów, spojrzeć w oczy zbójnikom opowiadającym o swej krainie i dać się zacządzić siwą mgłą.

Estetycznie Mieczysławowi Karłowiczowi bliżej było do Stanisława Wyspiańskiego, ale dramatycznie - jemu, ginącemu pod śnieżną lawiną schodzącą z Małego Kościelca - bliżej jednak było do Witkacego. Modernizm, Jugendstil, secesja, Sehnsucht jako liryczny zapach czasu, fin de siècle, bohema, tęsknota za nowymi podnietami, odnajdywanie i podziwianie dzikości, czystości natury, smakowanie na znużonym alkoholem języku kryształowości poddmuchu wysokogórskiego wiatru. Tego mitu w muzyce symbolem stał się Mieczysław Karłowicz (11.12.1876 - 8.02.1909) nawet nie tyle i nie tylko za sprawą swej muzyki, ile za sprawą swego losu, życia przez żywioł gór zagarniętego i przerwane. Ale też życia w czasie kulturalnego „przeciągu”. Zależy, wielce to romantyczne zginąć w młodym wieku pod lawiną, pozostawiając w swych dziełach zapowiedź geniuszu.

Karłowicz stał się ikoną polskiej kultury muzycznej. Ikoną romantyczną. Trudno sobie wyobrazić, by nie było po jego zaistnieniu ciągu dalszego, a tym ciągiem dalszym była - ujmijmy to symbolicznie - zakopiańska Atrna Karola Szymanowskiego.

Raptem 32 lata życia, kilkanaście lat komponowania w zasadzie młodzieńczego. Około 30 pieśni z fortepianem, 10 partytur orkiestrowych, garść artykułów o muzyce i o Tatrach,

polemiki na temat warszawskiej filharmonii, zżymanie się na zaściankowość polskiej kultury muzycznej dość podobne do tego, o czym pisał niewiele później Karol Szymanowski. A przecież cykl jego poematów symfonicznych to rozdział w polskiej muzyce niezwykle, na dobrą sprawę otwierający i jednocześnie zamykający czas romantyczny w tej polskiej muzyce symfonizmu na europejskim poziomie. Nie tylko warsztatowo, kompozytorsko, ale też ideowo, filozoficznie. Owa „smutna opowieść” Karłowicza, owe „odwieczne pieśni” o „wiekuistej tęsknocie”, o „miłości i śmierci”, o „wszechbycie” stają się rodzajem istotnego „epizodu na maskaradzie” tego właśnie czasu europejskiego, czasu rodzącej się moderny, Europy coraz bardziej pesymistycznej, znużonej i wypatrującej jakiegoś *katharsis*. Nastąpił on pięć lat po śmierci Karłowicza, fundując hekatombę ofiar I wojny.

Za sprawą swych poematów symfonicznych niby spóźniony polski Liszt, zapatrzony w Wagnera (choć po gatunek dramatu muzycznego nie sięgnął), w Ryszarda Straussa, kim by się stał 10, 30 lat później, gdyby nie lawina? Polskim Skriabinem? Jak wyglądałaby polska muzyka czasu międzywojnia, gdyby nastąpił estetyczny dialog dwóch wiel-

kości - Karłowicza i o sześć lat młodsze Szymanowskiego? Chyba by się działo. Nawet gdyby każdy z nich głosił swe względem drugiego *splendid isolation*. Mógłby wtedy ów mgławicowy syndrom „Młodej Polski w muzyce” przerodzić się w kształt jakiejś dojrzałości.

Schodząca 8 lutego 1909 roku z Małego Kościelca śnieżna lawina bardzo stanowczo wpłynęła na kształt muzyki polskiej początków XX wieku. Co Karłowicz czuł, gdy ją widział i zdawał sobie sprawę, że nie ma dlań ucieczki ani ratunku? Rozpacz z powodu niespełnionych zamierzeń czy romantyczną tęsknotą za rozplynięciem się we „wszechbycie” choćby już dziś, w wieku lat 32, choćby teraz, 8 lutego 1909 r., no bo na co czekać? Na taką okazję za lat 30? Oczywiście - to jest niewczesne mitologizowanie, naiwne psychologizowanie, ale...

„Gdy znajduje się na samym wierzchołku, sam, mając jedynie lazurową kopułę nieba nad sobą, a naokoło zatopione w morzu równin zakrzepłe balwany szczytów - wówczas zaczynam rozpylić się w otaczającym przestworze, przestaje się czuć wyosobnioną jednostką, owiewa mnie potężny, wiekuisty oddech wszechbytu” (Mieczysław Karłowicz, 1907). ●

Wywiad rzeka

Moje życie na krawędzi

Reinhold Messner
i Thomas Huetlin

przez Małgorzatę Kiełkowską
Stupki, Katowice



BARTEK DOBROCH

•• Nie zdobywa już ośmiotysięczników, nie przemierza Antarktydy, nie szuka yeti w Tybecie. Mniej znana twarz Reinholda Messnera - polityka i kolekcjonera - pokazuje wywiad rzeka, który przeprowadził z nim dziennikarz tygodnika „Der Spiegel” Thomas Huetlin.

Messner to legenda himalaizmu, choć całkiem inna od tej, która otaczała Edmunda Hillary’ego. Nowozelandczyk miał opinię skromnego pszczelarza, który z równym poświęceniem zdobywał Everest i budował szkoły dla małych Sierpów. Messner przeciwnie - od początku przygłębiał do niego latka wielkiego egoisty, żadnego sławy pozeracza szczytów, dążącego za wszelką cenę do celu, przy czym określenie „po trupach” nie zawsze było w jego wypadku metaforyczne.

Wzjęcie i bufon

Jego sukcesy budziły respekt, ale dawały też początek wieloletnim sporom. Te zaś wykraczały poza wymiar sportowy. Najgłośniejsza dyskusja wokół wyprawy na Nanga Parbat w 1970 r. do dziś nie została zamknięta. Podczas zejścia ze szczytu pokonanego dziewięć ścianą Rupal zginął, prawdopodobnie w lawinie, brat Reinholda Günther. Messnerowi zarzucano, że przyczynił się do tragedii przez brawurę i ukryty zamiar dokonania traversu dwóch wielkich ścian ośmiotysięcznika, a nawet oskarżano go o pozostawienie wycieńczonego brata na ścianie. Messner pokłócił się z pozostałymi uczestnikami wyprawy, ale tłumaczył się niekonsekwentnie.

Kilka lat temu spór rozgorzał na nowo za sprawą równoległej publikacji „Nagiej Góry” Messnera oraz „Śmierci na Nanga Parbat” autorstwa jego oponenta Maksa von Kienlina. Huetlin także rozdrapuje rany Messnera, którego pewność siebie, brak wahania co do słuszności własnych decyzji mogą budzić irytację. Z determinacją zbiera argumenty przemawiające za jego wersją zdarzeń, ale pomogło mu dopiero znalezienie w 2000 r. pod ścianą Diamir, po drugiej stronie Nanga Parbat, kości, która - jak się okazało po badaniach DNA - należała do brata (miał to być dowód, że nie zostawił brata w drodze ani nie odesłał go wyczerpanego z powrotem przez ścianę Rupal do obozu).

Messner fascynuje dziś rozmachem wizji swojej sieci muzeów pokazujących góry z różnych perspektyw: glaciologicznej, religijnej czy etnologicznej. Ale drażni megalomanią, gdy pytany o plan budowy pięciu muzeów we włoskich Alpach wypala bez namysłu: „Ja buduję je przecież nie dla Tyrolu Południowego, lecz dla siebie”.

Messner przez pięć lat, do 2004 r., był europosem z ramienia włoskiej partii zielonych. Dał się wtedy poznać raczej jako człowiek potywczy niż dyplomata. Swoją klęskę w świecie polityki tłumaczy przywiązaniem do niezależności: „Wole być wykluczony niż dostosowany!”, choć jego pierwsza żona Uschi Demeter mówi o nim: „Nie znam nikogo, kto by tak bardzo chciał być lubiany i tak mało potrafił w tym celu zrobić”.

Na szczęście Huetlin potrafi punktować tyrady zakochanego w sobie Messnera, a nawet wprowadza go w zakłopotanie, pytając wprost: „Kto może pana krytykować?”, a wypytując o relacje z jego byłymi partnerami wspinaczkowymi: Fuchsem, Habelerem, Kammerlanderem, dowodzi, że Messner nie ma przyjaciół. Nawet w liście gratulacyjnym do Jerzego Kukuczki po zdobyciu przez niego korony Himalajów Messner napisał: „Nie jesteś drugi, jesteś wielki”, zrezygnując z rywalizacji w szeregu. Pokorę ma tylko wobec potęgi gór i nieuchronności śmierci. Pytany o swoje

największe osiągnięcie, mówi: „To, że przeżyłem”.

Po pierwsze – wyczyn

Książkę wydano w serii „Literatura gór ska na świecie”, ale to kolejna z wydanych w ostatnim roku w Polsce książek wybitnych wspinaczy, która pokazuje przemianę, jaką nastąpiła w tym gatunku.

Minał okres intensywnych wypraw eksploracyjnych, skończył się też czas ich opisów. Tomy szczegółowo relacjonujące kolejne wyprawy jeszcze kilkanaście lat temu ukazywały się seriami w wyspecjalizowanych oficynach, dziś zalegają u bukinistów obok poczytnych przed laty historii wypraw polarnych. Tylko nieliczne mają walor literacki, bo wspinacze zwykli nie władali piórem z takim talentem, jak zdobywali granie. Są wyjątki: wydane niegdyś w serii „Naokoło świata” Iskier „Annapurna” Maurice’a Herzoga o pierwszym udanym, choć drogo okupionym ataku na ośmiotysięcznik w 1950 r., „Moje góry” Waltera Bonattiego m.in. o zdobyciu K2 oraz „Gwiazdy i burze” Gastona Rébuffata, opisujące przejścia największych alpejskich ścian północnych, m.in. Matterhornu i Eigeru. Rébuffat, marszyczyk z urodzenia i przewodnik z Chamonix z wyboru, efektownie uderzał w liryczny ton na kartach swojej „księgi młodości poświęconej wysokim szczytom”.

Jednak o awansie do kanonu gatunku nie decydowała sprawność literacka autorów, ale wymiar sukcesów. Dlatego najbardziej poczytne książki górskie Whympera, Hunta, Buhla tytułowane są po prostu „Zdobycie...” – Matterhornu, Everestu, Nanga Parbat. Do polskiej klasyki przeszły relacje pierwszych rodaków w Himalajach – Klarnera, Skoczylasa i Hajduki, wicza – oraz opracowany przez trio Nyka – Paczkowski – Zawada „Ostatni atak na Kunyang Chhish”. Głośne górskie dramaty znałyby godny literacki zapis w „K2. Triumf i tragedia” Jima Currana, „Wszystko za Everest” Jona Krakauera oraz (w wersji filmowej jako „Czekając na Joe”) „Dokładnie pustki” Joe Simpsona. „Moje życie na krawędzi”, mimo że dotyczy



SLAWOMIR SIERPIUTOWSKI

Annapurna

Po raz pierwszy zdobyta przez Francuzów w 1950 r. Messner wspiął się na nią w 1985 r. Wcześniej m.in. dokonał pierwszego wejścia na ośmiotysięcznik bez butli z tlenem (Everest) i pierwszego wejścia w pojedynkę (Nanga Parbat). Alpejski styl w Himalajach – to była jego rewolucja

jednego z największych górskich heroów, to także nowy typ literatury górskiej, który alpinizm przedstawia jako rodzaj ekscentrycznego hobby.

Zamiast patosu buddyzm

Heroizm zastępuje dziś – bywa, że banalne – wywody o związanej z alpinizmem filozofii życia. To literatura bez patosu, nadmiernej faktografii (i topografii), wciąż bogata w anegdoty, ale też intymna, często inspirowana buddyzmem.

Zmianę widać już w samych tytułach nowych książek. Anna Czerwńska, która opisywała kiedyś „Grozę wokół K2” czy zmagania z „Trudną górą Rakaposhi”, dziś traktuje swoje przygody z dystansem i bez zadęcia. Drugi tom jej autobiografii ma tytuł „Górfanka”.

„Czasami dziwię się, dlaczego wspinacze traktują wspinanie tak ekstatycznie, z niemal religijną pasją” – zastanawia się Amerykanka Steph Davis. Zamiast o triumfach i tragediach woli pisać „o miłości i grawitacji” – tak brzmi podtytuł jej „Wielkiego zauroczenia”. Nawet swoje najważniejsze wspinaczkowe sukcesy kwituje po buddyjsku: droga jest celem. „Wspinanie to mój sposób na cieszenie się życiem. Cała reszta to tylko szum” – pisze Davis.

Pod tym zdaniem podpisałby się pewnie Stefan Glowacz, którego autobiografia nosi tytuł „W skale i lodzie”. Glowacz zastąpił rolę w „Krzyku kamienia” Wernera Herzoga, pisze zresztą sporo o kulisach powstania tego filmu, równie ryzykownego jak inne dzieła autora „Fitzcarraldo”. Inspiratorem filmu był zresztą sam Messner.

Współczesny wspinacz nie ma cech herosa, nie jest pozeraczem szczytów, nie zamyka się przed światem w zamku na skale jak Messner. Jest za to twarzą producentów sprzętu, postacią z pogranicza sportu, przygody i popkultury. To cena, jaką musi płacić za fundusze na kilkumiesięczne wyprawy. Coś jednak łączy tę trójkę – 30-latkę z Ameryki, Niemca po czterdziestce i ponad 60-letniego Tyrolczyka. Nie sama miłość do gór, ale także potrzeba opowiadania o niej. o

Zbigniew Bidakowski ■ Estetyczna dojrzałość i wyrafinowana prostota

Zakopiański styl narodowy

Zakopane i Tatry nie zostały odkryte przez krakowiaków, którzy, jeśli wierzyć operze „Krakowiacy i Górale”, raczej się z góralami kłócili, tylko przez warszawiaków. Tytus Chałubiński pojawił się w Zakopanem już w 1852 roku i szybko odkrył jego walory uzdrowiskowe. Zalecił wyjazd tam Maril Dembowskiej – muzie artystów chorej na gruźlicę, która wraz z mężem Bronisławem, znanym warszawskim adwokatem, a potem badaczem gwary góralskiej, osiadła tam na stałe. Państwo Dembowscy ścignęli kolejnego warszawiaka, swojego przyjaciela (też podopiecznego dr. Chałubińskiego) Stanisława Witkiewicza.

O tym, co z tej warszawskiej inwazji wynikało, opowiada – wydana nakładem oficyny Bogdana Szymanika Bosh – piękna książka-album „Stanisława Witkiewicza styl zakopiański”.

Kiedy za pionierami nadciągnęli do Zakopanego inni miastowi, zaczęli stawiać tam domy w modnym wówczas stylu tyrolsko-szwajcarskim. Wyglądały „jak kupa śmieci przyniesio-

na wiatrem ze świata” – pisał Stanisław Witkiewicz i zaproponował stworzenie nowego stylu opartego na ludowym budownictwie podhalańskim, ogólnie zresztą podziwianym przez wszystkich gości na Podhalę się zapuszczających za niezwykłą jak na sztukę ludową estetyczną dojrzałość i wyrafinowaną prostotę świetnie wpisującą się w krajobraz. Nowy styl to nie była zresztą tylko architektura, lecz również meblarstwo, snycerstwo, czyli wyrób drobnych przedmiotów domowych i ozdób z drewna, oraz tkanina i haft: kilimy, narzuty itp.

Nowy styl zakopiański, którego burzliwy rozwój rozpoczyna się w latach 80. XIX wieku, to nie była też tylko estetyka, lecz także – jak to na ogół w Polsce bywało w tamtym wieku – postępowanie, ratowanie narodowej substancji, słowem – polityka. Teresa Jabłońska, autorka koncepcji, tekstu i wyboru zdjęć do albumu, tak pisze o komentarzach Witkiewicza do jego artystycznych pomysłów: „Ukryte przed carską cenzurą podteksty były czytelne dla wszystkich Polaków: w podzielonej między zaborców Polsce sprawą najważniejszą było zachowanie tożsamości narodowej i danie

jej wyrazu w sztuce; szukanie polskich – plemiennych (określenie Witkiewicza) – korzeni w zasobach kultury ludowej”.

Dzięki więc Witkiewiczowi i jego stylowi, któremu chciał nadać status narodowego, położone na uboczu Zakopane stało się miejscem spotkań inteligencji z trzech zaborów, cieszącej się tam ogromną jak na rozbiórową Polskę swobodą. Później

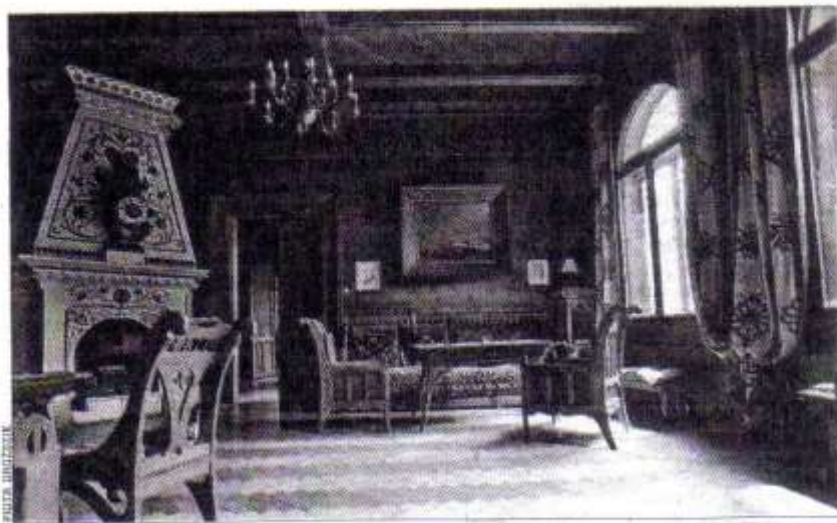
podtatrzańska wioska stała się po prostu jednym z centrów polskiej kultury.

Album przedstawia znakomite przykłady zakopiańskiego stylu, wykorzystując przede wszystkim piękne zdjęcia archiwalne. Widzimy skromne domy, okazałe wille, sanatoria, obiekty sakralne oraz architektoniczne detale, zdobienia, rękodzieło, rzeźby, hafty. Przedstawianym obiektom towarzyszy kompetentny komentarz opowiadający nie tylko o tym, jak dom budowano, ale również co się w nim później działo, kto tam bywał i co robił. Przez Zakopane przevinęli się, jak wiadomo, wszyscy, którzy znaczyli coś w polskiej kulturze przełomu wieków XIX i XX. Tu zachodził na popołudniową herbatę Żeromski, tam odbywały się pierwsze

próby dramatów Stanisława Ignacego Witkiewicza.

Nie sposób przecenić dzieła Witkiewicza i tego dzieła niezwykłej siły i trwałości. Nie jest to fraza. Wyobraźmy sobie, że Witkiewicza nie było. Zakopane dzisiaj wygląda jak Sopot: odrzucająca komercja, chaos, pstrokaczina, plastik, tandeta. Czy w dzisiejszym Zakopanem nie ma komercji? Górale z pewnością nie ustępują nikomu pod względem instynktu do komercji, a kto był w Zakopanem, wie, że chyba nawet przewyższają pod tym względem mieszkańców wielu innych krain. Ale jednak, nawet kiedy podają nam ohydny, niejadalny grillowany oscypek, i to sfalszowany, bo z krowiego mleka, jakoś im to przebaczano. Dlatego, że podają nam to z budki zbudowanej – tak, w Stanisława Witkiewicza stylu zakopiańskim – z prawdziwego drewna, o znakomitych proporcjach, rzeźbionej w dziełach i przykrytej daszkiem z gontu. Jeśli komercja musi być, to niechże ma przynajmniej styl.

„Stanisława Witkiewicza styl zakopiański”. Koncepcja, tekst i wybór ilustracji Teresa Jabłońska, proj. graficzny Leszek Szurkawski. Wydawnictwo Bosh, Olaszanka 2008



■ Pokój bawialny w Domu pod Jedlami



Zniszczony nagrobek w Tengeru. Zdjęcie z początku marca

Polski cmentarz po burzy

== Niszczy bez opieki polski cmentarz w Tengeru w Tanzanii: wiele nagrobków jest połamanych, leżą na nich drzewa – alarmuje córka jednego z polskich uchodźców w Afryce. Mieszkająca w Afryce pani Julia Wach była na cmentarzu na początku marca i to, co zobaczyła, przerażało ją. Zadzwoiła do naszej redakcji. - Droga na cmentarz jest cała w dziurach, wiele nagrobków zniszczonych. Zniszczenia to skutek gwałtownej burzy, która przeszła tu kilka miesięcy temu.

Na cmentarzu pochowana jest babka pani Julii. Wraz z synem (ojcem pani Julii) była jedną z 6 tys. osób, które w latach 1942-48 przeszły przez obóz polskich uchodźców w Tengeru. Były to głównie dzieci

i kobiety, które opuściły Związek Radziecki wraz z armią gen. Andersa.

Poprosiliśmy o wyjaśnienia ambasadę RP w Nairobi, która powinna opiekować się cmentarzem. „Zdajemy sobie sprawę z naszej odpowiedzialności, również za sprawy opieki nad tamtejszymi cmentarzami, w tym nad cmentarzem w Tengeru (...). Ze zrozumiałych dla każdego względów fundusze konsularne zostały znacznie okrojone w tym roku, jednak w miarę naszych możliwości będziemy wspierać finansowo osobę, która porządkuje cmentarz. (...) Natychmiastowa interwencja i uporządkowanie cmentarza po burzy przekracza w tej chwili nasze możliwości. Czekamy z niecierpliwością na obiecanie wzmocnienie kadry” - napisała nam w e-mailu ambasad RP w Kenii Anna Grupińska. © RIM

WYDAWCA: POLSKIE TOWARZYSTWO TATRZAŃSKIE O/PTT im.Gen. M.Zaruskiego

Organizacja Pożytku Publicznego Nr KRS 0000115547

41-200 Sosnowiec ul.3 Maja 29/4A tel: 0-32-2663815, www.sosnowiec.ptt.org.pl

Redakcja: Redaktor Naczelny - Zbigniew Jaskiernia, Krzysztof Czesak - Członek Redakcji